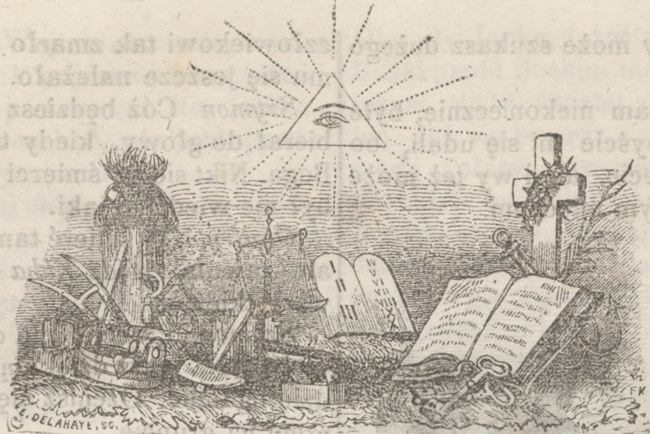
ROK PIĄTY.

№ 25.

WARSZAWA

d. 4 (16) czerwca

1860.



REDAKCYA

CZYTELNI

przy ulicy Chmielnéj

Nr. 1527.

NIEDZIELA.

3cia po Świątkach.

„*Raczej zbraknie biednych, aniżeli chleba, jeżeli wszyscy wiernie pełnić będziecie obowiązki wasze.*“ (Ś. Wincenty à Paulo).

CZYTELNIA NIEDZIELNA.

Pókiś zdrowy i majętny, pomagaj ubogiemu. Nie czekaj, abyś sam na sobie poznał, jak to ciężko w nędzy cierpieć nieludzkość drugich, i jak to dobrze nie zamykać miłosierdzia ubogiemu. (*Czytania Bractwa Miłosierdzia na każdą Niedzielę roku przez X. P. Skargę*).

Obrazek z życia ludu wiejskiego.

POGRZEB WŁOŚCIANINA

Jana Maligi.

OBRAZEK I.

(Wojtek wiezie przez włość sąsiednią trumnę dla ojca).

Małgorzata (przed domem). Zmarło się to twojemu tatusiowi miły Wojtek? zmarło mu się to mój Boże! Widzisz! taki chłop podufały, coby się nikt na niego nie spodział!

Wojtek. Oj, zmarłoć mu się moiściewy, we wtorek po wieczerzy, i ani dychnął, a ja teraz został sierotą bez nikogo.

Małgorzata. A juści! jakżeby nie?.. a kiedyż go chować będą?

Wojtek. Mówił jegomość, że go jutro pochowa, ale któż tam wie, jak wypadnie?

Małgorzata. A wieleż się wykosztowałeś na tę trumnę? Trumna bo i ładna.. malowana, jak się patrzy.

Wojtek. Juźci dałem za nią dwanaście złotych i to z targiem. A wasza dla nieboszczyka męża wiele kosztowała?..

Małgorzata. Ej, co moja to więcej, bo na to zostawił, to mu trzeba już było sprawić wedle jego woli. Ale co tam, do téj świętej ziemi czy taka, czy owaka, na jedno wyjdzie, bo już nikomu nic z tego nie przyjdzie.

Wojtek. Oj, nie przyjdzieć już nie, bo jak śmierć kogo zabierze, to już i po wszystkiem... Trumna go tam nie wskrzesi.

Małgorzata. A na kogóż po nim grunt przypadnie, czy na ciebie Wojtek?

Wojtek. A na mnieć ma przypadać, tylko siostrze dam spłackę.

Małgorzata. Toby ci się trzeba żenić Wojtek.

Wojtek. A juźci takby przypadało, gdyby się trafiło, a chciała mnie która.

Małgorzata. Ej, co tam o chcenie, to się nie mówi, bo ladajakaby cię chciała, czy dziewu-

cha czy wdowa, ale ty może szukasz dużego majątku?

Wojtek. O majątek tam niekoniecznie, byle mi się udała. Wy tobyście mi się udali, bo mi się oddawna udajecie, ale i wy też może szukacie chłopa z dużym miechem.



Małgorzata. Ej, o miech mi tam nie chodzi, bo dziękować Bogu mam ila tyla po niebożyczku co pomarł.

Wojtek. Kiedy tak, to przyjdziesz jutro na pogrzeb tatusia, a jak pochowamy, to się rozmówimy w karczmie o tym interesie; a teraz już pojadę, bo już wieczór, a tatuś leżą w komorze na równianej słomie, to go trzeba na noc włożyć w trumnę.

Małgorzata. No jedź z Bogiem Wojtek, a ludziom nie gadaj, o czemeśmy rozmawiali, boby się śmiali, a dziewuchyby nademną wydziwiały.

Wojtek. Ej, głupstwo! cobym miał takie rzeczy gadać. Nikomu tam do tego nic. Wijo koniki! hetta!.. od siebie!...

OBRAZEK II.

(Wyprowadzenie zwłok, zgromadzenie w domu zmarłego).

Wojtek (płacząc). Oj, mój tatusiu jedyny, serdeczny, żeś też to pomarł, a nas zostawił sierotami! Potrzeba ci też to było w takim wieku, cobyś jeszcze zdołał żyć!.. Oj, mój Boże święty! o! moi ludzie uczciwi!...żeby się też człowiekowi tak zmarło z dobrej woli, co ani mu się jeszcze należało.

Szymon. Cóż będziesz sobie Wojtek przybierał do głowy, kiedy taka była wola Pana Boga. Nikt się od śmierci nie wyprosi, choćby był nie wiedzieć jaki.

Onufry. Oj, śmierć tam na nikogo nie trwa, ale zawoła: *pójdź Kuba do wójta*, i jużci po wszystkiemu.

Szymon. Przecież cię ojciec nie zostawił w ubóstwie... masz dziękując Bogu, czem się biedzie oganiać. Ożenisz się i będziesz gospodarzem na gruncie.

Wojtek. Ej mój Szymonie, mnie tam już nic nie cieszy, kiedy mi tatuś pomarł, ja teraz pozostał jak głupi.

Katarzyna. Nieboraczek! Lamentuje tak jak powinien, bo to był jego rodzic a nie kto. Jużci się tak należy!..

Zofia. A córka, to ledwo się gdzieś niezapodzieje, tak wrzeszczy, aż się po wsi rozlega.

Katarzyna. Nie dziwota, jak córka zwyczajnie, powinna swoje wywrzeszczeć i ojca opłakać.

Kunda. Ej, co im tam będzie. Gruntu samego będą mieli tak jak dziesięć morgów, a do tego para koni z wozem i trzy krowy, a jedna jałówka. Nie bez tego, aby tam i pieniędzy co nie zostawił.

Maryanna. Ale to pójdzie na dwoje ich, bo przecież i dziewusze przypadnie połowa.

Kunda. Choćby, to i tak będzie miał Wojtek kawałek chleba. Jabym mu tam moję dziewuchę dała.

Katarzyna. Ja do tego bliższa, bo tylko o drugą chałupę, a Wojtek na każdy wieczór do nas zaglądał i mówił, że mu się moja Resia udaje.

Zofia. Z tego nic, bo się z ubóstwem żenić nie będzie, tylko musi szukać spłacki, a siostra się też zechce prędko wydać, bo i na nią czas.

Katarzyna. Oj, wy w wasze talary dufacie i chcielibyście za nie chłopa dla waszej Baśki kupić; ale on też taką woli, co gładka na gębie.

Zofia. Nie swarzcie się przy umarłym, bo to grzech, a już go na wóz kładą i zaczną ludzie śpiewać.

Wojtek. Pomóżże mi Jędrek dźwignąć tatusia od głowy, bo gnojnice wysokie, to sam mu nie podolę.

Jędrek. To stańże Wojtek na wozie, a ja ci podam. Wawrzyniec! pójdzcież zemną dźwignąć, bo chłop ciężki po śmierci... No, dobrze... bo już musi jegomość czekać, gdyż chłopy stoją z chorągwiami czyszcowemi.

Szymon. No, siadaj chłopak na wóz i jedź... a staniesz przed figurą, a wy starzy od bractwa zaczynajcie pieśni i odprowadźmy w Imie Pana Jezusa do świętej ziemi naszego kumotra, nieboszczyka.

OBRAZEK III.

Przeproszenie pod figurą wśrodku wsi.

Szymon. (do woźnicy) Zaczekajże chłopiec! (do ludu) Słuchajcie, co wam będę gadał, i niechaj każdy słucha, aby spamiętał i świadczył na wiecznym sądzie, jak na to przyjdzie świadczyć: (żegna się głośno). W Imię Ojca i Syna i Ducha Świętego Amen.... „Już Janek pomarł, co nazywał się po ojcach Maliga, i tu leży w tej trumnie, do którejśmy go włożyli, a niezadługo będzie świętą ziemię gryzł na ćmentarzu. Płacze po nim gromada, bo był gospodarz jak się patrzy i z każdym sąsiadem zgodny. Małemu dziecku nie zawadził, a nikomu krzywdy nijakiej nie zrobił, ani się z nikim nie swarzył i do sądu nie wodził. Żył do woli Bożej przeszło kopę lat z okładem; bo mu było na sześćdziesiąt, a nikt nie wyświadczy, aby komu na despet uczynił, albo komu z dobrej woli zagon przyorał, albo w szkodzie nawet kołkiem (jak się we wsi przytrafia) kurę zabił. Za muzykami od młodu nie gonił, a do kościoła w bractwie bywał najpierwszy, i byłby był starszym, bo go ludzie chcieli, ale on nie chciał, bo jakeście go znali, pokorne było chłopisko. W roki głodne komornicom biednym ziarna użyczał, a proszalnego dziadka do misy posadził. Kumotrem był ludziom ze sto razy, a jak przyszła opieka nad sierotami, to każdy na niego zwalał. Wesele też niejednej sierocie ze swego wyprawił, a co stracił, nie rachował. Więc dlatego żałuje go cała gromada, a lamentują dzieci i przyjaciele, i beczą baby, a drą się choć te małe paupry, co też przybiegły na pogrzeb; bo nasz Janek już nie wstanie, ani go już oczy nasze nie zobaczą, ani się do nas nie rozśmieje, ani pogada z ladakim z nas. Oj, miły Janku, jużeś nie nasz, aleś najprzód Boski przed Boskim majestatem, a potem należysz do tej świętej ziemi, którą cię przysypią. Już cię po raz ostatni żegna cała gromada (płacz powszechny), i żeby światłość wiekuista świeciła ci na wieki wieków.. amen! Ale nas tez nie oskarżaj przed Bogiem miły Janku, jeśliśmy ci jaką krzywdę zrobili za życia, i nie instyguj na nas, ale się wstaw za nami. Jeśli ci kto co porwał, to mu daruj, a jeśli ci kto złe słowo powiedział, to mu na tamtym świecie nie pamiętaj, a jak ci szkodę w polu zrobił, to mu odpuść, iżby żadna duszyczka za ciebie nie cierpiała. (do ludu) No, proścież go!...

(Lud) Oj! prosimy cię miły Janku, abyś nam złego naprzeciw tobie nie poczytywał...

Szymon. A teraz, kiedyście go pięknie przeprosili, to ja wam imieniem jego obiecuję, iż wam wszystko odpuści, ale i was o odpuszczenie pięknie prosi i przeprasza z tej tu trumny przez moje słowo.

(*Szymon mówi w imieniu zmarłego*)" Ja też grzeszna duszyczka dopraszam się was pięknie z tamtego świata, abyście mi kochani sąsiedzi, przyjaciele i którzy tylko na świecie żyjecie, przepuścili wszystkie winy moje, wszystkie złe słowa moje,klęcia, przezywania i obmowiska, a nasamprzód przepraszam całą gromadę, jeśli kiedy co przeciw niej zawiniłem. Czy przebaczacie?

(Lud cały ze łkaniem) Przebaczamy, niech ci odpuści winy Bóg, sędzia wiekuisty!

Szymon. Przepraszam was ludkowie za wszystkie obrazy, albo i zgorszenia, którychem się grzeszna dusza dopuściła, a które mogły was do grzechu zawieść. Czy przebaczacie?

(Lud) Niech ci jak my przebaczamy, przebaczy wiekuisty Bóg.

Szymon. A owe szkody w polu i sadzie, które ja albo czeladź sprawiła, albo nieme stworzenie jako bydlę ukrzywdziło, czy przebaczacie?

(Lud) przebaczamy z duszy serca, i wszystko odpuszczamy wieczyście, aby ci miła duszyczko nie było na sądzie poczytane.

Szymon. No, teraz go ze wsi pożegnajmy!

(*Lud z płaczem rzuca się na trumnę i krzyż na niej wymalowany całuje, syna i córki oderwać*

od trumny niemożna. Wśród łkania powszechnego słychać przeciągły lament córki. Wreszcie wóz rusza dalej ku kościołowi, a pieśni pobożne się rozpoczynają, wśród których przedziera się rozpaczliwy płacz niewieści.

(*Dokończenie nastąpi*)

Pogadanka rolnicza

O pérzu.

— Tak, tak, wy swoje, ja zaś swoje, mówił Grzela do Stacha, wracając z jarmarku z Dobrzynia. Pérz, zwyczajnie pérz, jak się już gdzie zaweźmie, to go się trudno całkiem z roli pozbyć. Ot, na ten przykład ja sam, com go to już ze swej roli nie nawywoził, na drabiasty wóz tegobyś nie zabrał, a przecie rok w rok jak był, takci tam i jest. Widzicie więc Stanisławie, że to już rolą idzie.

— O! przynajmniej mi tego nie mówcie, sąsiedzie, odrzekł Stach, że to rolą idzie; ja wam powiadam, że to nie rolą idzie, ale uprawą. Gdybyście byli waszą rolę dobrze, wcześnie i za pogody uprawili, tobyście tyle pérzu nie mieli; jak was kocham, tak prawda. Idźcie tylko zobaczyć, a przekonacie się sami, że się pérz na niej lepiej zieleni jak Szymkowa ozimina.

— Prawda, że były słoty, kiedym rolę uprawiał, padało i padało jakby na uwzięcie, to cóż było robić? Zwlekać było niepodobna, bo i tak się dobrze opóźniłem ze siewem; więc rad nierad, musiałem uprawiać jak bądź, i zasiać, na to mówiąc, w błoto.

— Toż i na drugi rok da Bóg doczekać, przerwie Stanisław, znowu nic nie będziecie mieli na roli tylko pérz.

— A no, juźcić że będzie, bom go w miejscu zostawił, a nie zwoził do domu tak jak wy; na kiegożto i licha go zwozić?..

— Ha! jak sobie kto pościele, tak się i wyśpi, rzekł Stach; wolna wola każdemu robić, jak mu się lepiej zdaje.

— Ależbo Stanisławie, rzeknie Grzela, powiedzcie mi też szczerą prawdę: co wy z tem pérzem w domu robicie?.... wszak do niedawna jeszcze jak to dobrze pamiętam, toście go tak samo nie potrzebowali i nie zwozili, jak i ja dzisiaj.

— Prawda! dawniej, to jakem pérz pozbierał z roli, tom go na drogę wyrzucił, ale od dwóch lat to go suszę jak siano i do domu zwożę. Mój cioteczny służył był wojskowo, i był nawet sierżantem. Jak się wojna skończyła, nie wrócił nazad do domu, ale poszedł het do Francyi, gdzie się ożenił, i było mu z początku nieźle. Potem żona mu bezdzietnie umarła; on też niewiele myśląc, posprzedawał co miał i wrócił do kraju, bo to powiadając: *wszędzie dobrze, a w domu najlepiej.* Przed trzema laty spotkaliśmy się ze sobą w Skępem na jarmarku, zaraz jakoś w pierwszy czwartek po świętym Macieju. Nie gadać wam, jaka to była z tego uciecha i dla mnie i dla niego. Zaprosił mię potem do siebie do Kikoła na Wielkanoc, bo się już był nanowo w kraju ożenił, i tam sobie domek z kawałkiem roli okupił; pojechałem więc z moją i ze starszym chłopakiem. Otóż tam przy gawędzie o tem i o owem, zgadało się też coś i o pérzu. I powiadał mi, że we Francyi, gdzie on był, gospodarze pilnie zbierają pérz, suszą go potem w stodołach, młócą i dobrze wytrząsają, aby go zupełnie ze ziemi oczyścić, i tak go potem bydłu dają jak paszę. Dziwno mi się to zdawało, ale nic nie mówiący, myślę sobie: poczekaj! niewielka rzecz spróbować, a zobaczymy, jaka w tem prawda. Skoro też w domu stanąłem, zaraz się zabrałem do próby, i przekonałem się, że wszystko prawda, co gadał mój cioteczny o pérzu. Od tego też czasu już go nie marnuję, ale osuszywszy na słońcu, zwożę do domu i bydło nim karmię.

— Hm, hm, mój sąsiedzie! zaczął bąkać Grzela, to mi się jakoś w głowie nie może pomieścić!..

— Czemu? zapytał Stach, alboście to nie widzieli, że bydło pędzone przez ugór, gdy napotka kupkę pérzu suchego, to stawa i źre.

— Ba! i nieraz.

— No to i czegoż więcej chcecie? kiedy w lecie choć przy trawie, a nie kole go pérz w język, owszem sobie w nim smakuje, cóż dopiero mówić o zimie. Przytem zaręczyć wam mogę, że jak smaczny, tak i zdrowy jest dla

bydła, bo dzięki Bogu, już od dwóch lat pasę nim moję chudobę, i nie widzę, żeby miało jej co szkodzić. Ale, ale, właśnie też przypominam sobie, co mi łońskiego roku opowiadał Jędrzej z Płomian; podobno i wam on znajomy?

— A jakże, znam ci go dobrze.

— Otóż powiadał mi on, jako przed rokiem na jarmarku tutaj w Dobrzyniu kupił był krowę od biednej komornicy z Wójtówki. Zaręczono mu, że była zdrowa i dobra do mleka. Skoro ją przygnał do domu, zawołał na swoję, aby ją wydoiła. Żona dalejże po skopek, rzuca krowie dobrej trawy, że to było latem, i zabiera się do dojenia. Tymczasem krowa ani źreć ani mleka dać nie chce. Dziwno im to było bardzo, ile, że krowa miała wielkie nabrane wymię, i komornica za nią ręczyła, że do mleka dobra. Co to jest, zdrowo wygląda; czy czary jakie, czy co?.. powiada Jędrzej. Ale czary! zawoła żona, wybuchając gniewem: nicponiaś kupił i tyle, teraz sobie dój! O! moja Magdo, rzekł Jędrzej, tylko się zaraz nie rzucajcie. Poczekajmy do jutra, a jeżeliby nie chciała dawać mleka, to ją odprowadzę starej Walkowej do Wójtówki, boć od niej kupiona, a ona mi zwróci moje pieniądze.

Nazajutrz Magda nażęła świeżej trawy i poszła ze skopkiem do krowy; a tu znowu taka sama z nią historja jak i wczoraj: krowa ani trawy na dobre wziąć do gęby, ani mleka dać nie chce. Rozgniewana gospodyni wyhałasowała swojego: a ty taki, a ty owaki... tak, że biedny Jędrzej spuściwszy uszy po sobie, i nie mówiąc już nic, łap czemprędzej za krowę i marsz z nią do Wójtówki do komornicy, od której był ją kupił.

A wy co chcecie? zdziwiona zawoła Walkowa, gdy jej przyprowadził krowę przed chałupę. Ha! moglibyście się też i wstydzić, tak ludzi oszukiwać, powiada Jędrzej; macie waszą krowę, a oddajcie mi pieniądze. Powiedzieliście, że ta krowa dobrze doi; a pięknie to tak, kiedy nieprawda!—Co wy gadacie! na to jemu Walkowa; ta krowa nie chce mleka dawać?... A juzci że nie, kiedy powiadam, rzeknie Jędrzej; przecie nad wami zdziwiać się nadarmo nie przychodzę.— Czy oszalał czy co? szepnęła Walkowa, i niewiele myśląc, biegnie po skopek do izby, a potem zarzuciwszy krowie naręczko wysuszonego pérzu, zaczęła doić. Krowa przegłodzona, ledwo się nie udławiła, tak żarła; a Walkowa musiała drugi skopek przynieść, bo jeszcze jej była do połowy nie wydoiła, a już pierwszy skopek był pełny.—No, mój ty miły Boże! zawołał Jędrzej, patrzący na to wielkiemi oczyma; toć jej moja dawała jak najlepszą trawę, a źreć nie chciała, a tu pérz źre, aż się prawie dławi, i mleka jak daje, tak daje. Na to Walkowa z uśmiechem: Nie dziwno mi teraz, kiedy was tak słyszę mówiących, że moja krówka nie dała waszej mleka, boć u biednej komornicy nie nawykła ona do trawy, jeno się na pérzu chowała. A to kiedy tak moja kobieto, to mi darujcie, żem was posądzał; i u mnie pérzu nie brakuje, może go źreć ile się jej podoba.

Poczem Jędrzej odprowadził krowę do siebie i powiedział żonie, jako się rzecz miała. Nie chciałać ona wierzyć z początku temu wszystkiemu, ale się potem sama przekonała, że krowa tylko do pérzu przyzwyczajoną była. Dawała go jej codziennie, mieszając po trosze z trawą, krowa wybrała pérz, a trawę zostawiła; później jednakże pomału i do trawy nawykła.

— A co miły sąsiedzie! przyznacie mi teraz, że pérzu marnować się nie godzi?

—Hm, hm.,. bąknął sobie Grzela pod nosem, pokręcając głową.

— Jeżeli zaś mnie nie wierzycie, zakończył Stanisław, to popytajcie zacnego Jędrzeja!

O podaniach ludowych.

VI.

—

Legenda p. t. *Jałmużna* wzięta żywcem z podania ludowego przez Jana Chęcińskiego gładkim oddana wierszem, tyle mieści w sobie piękności, że jej pominąć nie możemy.

Było to wpośród tęgiej zimy, i mróz siarczysty dokuczał. Śliczny jest obrazek zajęć ludowych w tej porze:

Już dnieć zaczyna, w chatach ogień błyska,
Już pod cepami zajękły klepiska:
Gosposie warzą dla czeladzi strawę,
Lub przędąc, prawią historje ciekawe
O dawnych ludziach, pustelnikach świętych,
O strasznych smokach, królewnach zaklętych,
O diabła z chłopem przemądrzałym męce,

O głupim Janku, co zbójcom wpadł w ręce;
O różnych rzeczach gwarzą Bóg wie nieco,
Tysiące gadek na wyścigi lecą,
A dzieci słuchać od świtu gotowe,
Zpod pierzyn główki wychylają płowe,
Albo w opończach, z płacht, fartuchów, kiecek
Biegną przycupnąć na ciepły przypiecek.
Bo wiejskiej dziatwie w to ino graj panie!
Choć czasem chrustu na komin nie stanie,
Choćby i troszkę zębami przydzwonić,
Byle z tych cudów słowka nie uronić.

—

Na dworze głucho, prawie żywej duszy,
Bo jeszcze szaro, bo jeszcze za rano.
Aż słońce błyśnie, aż wichry ustaną,
Toż siaki taki z chałupy wyruszy
Oprzątnąć bydło, czy po chrust do boru,
Czy od swojego na zaciąg do dworu,
Ale już zwykle jejmość pani zima
Łacniej człowieka pod dachem zatrzyma.

W taką to porę ubogi dziadek wlókł się o kiju ku wiosce, a doszedłszy pierwszej chałupy, wszedł w jej progi, by rozegrzać skostniałe członki i jaki taki posiłek uprosić; Jak na biedę trafił pod dach skąpej i bezlitosnej Błażkowéj, która chociaż opływała w dostatki i właśnie siedziała z dziećmi nad miską żuru ze sperką, co aż nęcił zapachem swym głodnego dziadka, nietylko odmówiła mu wszelkiego wsparcia, ale go nadto sromotnie złajała. Wszakże wyraz twarzy dziadka i jego głos jak gdyby proroczy napełniły ją dzi wnym przestrachem.

Poszedł staruszek, skrzypły drzwi sosnowe,
I śnieg zaskrzypiał pod stopą żebraka,
I jakaś chętka ujęła Błażkowę
Dognać go z chlebem, lub wsunąć trojaka.
Już i kluczami od skrzyni zabrzękła,
Lecz sknerstwo zmogło szczodrotę ułudną...
Oj! czem skorupka na razie nasiękła,
Trudno wywabić, co trudno, to trudno.

—

Sfukany i złajany staruszek powlókł się do następnej chałupy; mieszkała w niej Janowa uboga wdowa z pięciorgiem drobnych dzia tek. Nędza wyglądała z każdego kąta tak, żebyś jak to mówią i *siekierą nie uciął*; poczciwa i litośna wszakże kobieta wdzięcznie powitała ubogiego i posiliła suchym kawałkiem chleba, który dzieci ochotnie od ust własnych ujęły. Rozrzeźwił się staruszek, dziękując serdecznie za okazaną litość i współczucie przez matkę i dziatki:

A kiedy mówił, to jakoś się zdało,
Że jego tchnienie izdebkę ogrzało,
Że słońce jaśniej błysnęło nad chatę...
—No, rzekł nareszcie, mnie trzeba iść daléj,
Bóg z wami dziatwa, chowajta się zdrowo;
Biednym, co szczerze biednego przyjmali
Stwórca nagrodzi chleb i dobre słowo;
On się nad wami matulu kochana
Zmiłuje w niebie, jak wy tu nademną;
A co dziś robić zacznieta od rana,
Bodajście chyba skończyli w noc ciemną!

—

I poszedł stary; a dobra Janowa
Coś mimowolnej podpadła zadumie:
Co on powiedział?.. co znaczą te słowa?..
No! będzie mądry, kto go tu zrozumie!
Gwarzył trzy po trzy... aleć to czas leci,
Południe blisko, o Boże mój Boże!
Wartoby obiad szykować dla dzieci,
A już dziś nie wiem, co w gębę im włożę!
Wtem gdy ją dola udręcza tak smutna,
Przyszło jej na myśl z uciechą nie małą,
Że od odziewków dziecinnych zostało
Trochę grubego bielonego płótna.
Biedna Janowa aż w dłonie poklasła;
Ot, myśli sobie, poniosę do żyda,
Toć mi da trochę kartofli i masła,
I może na sól z grosiwa co przyda.
Ino coś tego malutko nieszczerze,
A tu Szmul karczmarz nad wszystkie przywary
Ogniście skąpy!... obaczę, przemierzę.
Ot jest pięć łokci, na szósty nie stanie,...
Ba! jest i szósty, coś miara szczęśliwa,
A to co? siódmy! o Wszechmocny Panie!...
Osmy, dziewiąty, i jeszcze przybywa!..
Dla Boga reta! toć chyba cud Boży,
Co się tu dzieje, zawoła niewiasta.
Już brzeg, a kiej się do łokcia przyłoży,
To chet ucieka i płótna przyrasta!
Patrztaż dzieciaki, brzeg mówię daleko,
Już ze sto łokci, o Jezu o Chryste!
Co raz piękniejsze bieluchne by mleko,
I kieby pańskie, cieniuchne przejrzyste!
Jeszcze i jeszcze, na ziemi stos rośnie,
Matka wciąż mierzy, a dzieci co w kątku
Nieśmiałem okiem zerkały z początku,
Poczęły skakać i śpiewać radośnie.
I w lichej chatce zrobiło się gwarno,

Jakby biedacy dni łez zabaczyli.
Bo Bóg im rzucił miłosierdzia ziarno,
Co zmianą losu zakwitło w tej chwili!
Zbiegło południe, promienna twarz słońca
Niknie za lasem, na dworze już szaro,
A płótna ciągle przybywa pod miarą
I jeszcze, jeszcze daleko do końca.
I z onej resztki tak dziwnie obfitej
Biedni zgarniali przez cały dzień plony,
I głód ich mijał... ot! widać był syty
Chleb z nieszczęśliwym serdecznie dzielony...

—

Od tej chwili zaczęły się dni pogodniejsze dla Janowej: sprzedaż płótna starczyła na pierwszą zapomogę, dalej wszystko jej szło jak z płatka, i Janowa wkrótce w dobrym bycie doścignęła najzamożniejszych gospodarzy; wszakże równie zawsze pobożna i litościwa, w pokorze serca dziękowała za to wszystko cudownej Opatrzności. Dziwna była ludziom ta niezwykła przemiana, Błażkowa zaś z zawiści sypiać nie mogła, i dopóty zachodziła koło Janowej, dopóki ta jéj w prostocie ducha nie wyspowiadała, zkąd się wzięły jej dostatki.
Tom się dopiero spisała rozumnie!
Idąc do łożka, przemyśla Błażkowa:
Dyćże ten stary włóczęga był u mnie,
A jam dobrego nie dała mu słowa...
Coź?... niedziwota... wiedzieliż go kaci,
Że za jałmużnę odrazu zbogaci!
Niech cię wciurnaści!.. człek mądry po szkodzie.
Żebyć go licho zaniosło raz jeszcze,
Jużbym z chałupy nie wypchła o głodzie!
I chciwy serce żal ujął jak w kleszcze,
I nuże wzdychać i płakać z zazdrości,
Wreszcie przeklinać, aż rada nie rada
Zasnęła z troską, a przez sen układa,
Jak ubogiego na przyszłość ugości.

Nazajutrz rano jak gdyby wołany, staruszek pojawił się we wiosce. Zaledwo go Błażkowa ujrzała, naszykowała sobie płótna, dzieciakom wetknęła po glonku chleba z serem, aby go im odebrać, jak się dziad w chałupie zjawi; potem gwałtem prawie żebraka do chałupy zabrała i obficie go ugościła.
Dziadek zajada, a głową potrząsa,
Czasem mu uśmiech uleci zpod wąsa,
To znowu chmura osiada na czole,
Czy zgadł obłudę?.. czy w sercu go kole,
Kto wie?...
Nareszcie podniosłszy się z ławy:
— Bóg z wami, rzecze, mnie trzeba iść dalej,
Jakeśta szczerze biednego przyjmali,
Tak wam odpłaci nasz Ojciec łaskawy....
Bo z tem, co w sercu matulu kochana,
Człekby się przed nim ukrywał daremno;
No, co dziś robić zacznieta od rana
Bodajście chyba skończyli w noc ciemną!

—

Ledwie że za próg przestąpił biedny,
Choć niezbyt rada z takiej podzięki,
Błażkowa łokieć chwyta do ręki,
Aby nie stracić chwileczki jednej.
— Zarwon ta! myśli, razem z perorą.
Co mu w to wchodzić, szczerze nie szczerze,
Kiej jadł za czterech, w torbę wziął sporo,
Za każdy kąsek kopę namierzę....
Dzień mamy długi!....
Zatem do dzieła
Drżąca z chciwości płótno ujęła,
Już go do łokcia przykłada właśnie,
W tem jedno z dzieci,, pić matko! wrzaśnie,
A za niem drugie, trzecie i czwarte,
„Pić!“ wrzeszczą jakby ze skóry darte.
— Cichoże bębny, bo pęknie głowa,
Toć wam przyniosę! krzyknie Błażkowa,
I nie pamiętna wyrazów dziada,
Porzuca łokieć, z chaty wypada,
Pędzi na oślep aż w skroni pała,
Rada z powrotem już być przy płótnie,
Po drodze konwią w kamień jak utnie,
Tak i obręczka z konwi zleciała.
Ale Błażkowa studni dobieża,
Nie słyszy, choćbyś puknął z moździerza,
Czerpie, aż woda prysła na szmaty,
I co tchu w piersi wraca do chaty.
—Macie! zawoła, zalejtaż usta!
Dzieci do wody, konewka pusta.
—„Ot rzecze matka, wyrodne plemię
Przez was człek niewie, kej głowa, oczy,
Zamiast w konewkę poszło na ziemię...
I po raz drugi do studni skoczy:
Żuraw zaskrzypiał, daremna praca,
Znowu bez wody jejmość powraca.
— Dla Boga reta! co się to znaczy?
Sięgając garczkiem, krzykła w rozpaczy,
Chyba mi licho stawia przeszkody!
Otoż naprzekor przyniosę wody!
I już nie bacząc płótna ni straty,
Jako wyrzekła, dalej w obroty

Z chaty do studni, to znów do chaty,
Aż lud na obiad wrócił z roboty.
I Błażej nadszedł z parobkiem, dziewką,
Lecz gdzie Błażkowej myśleć o strawie?
Jak opętana bez zmysłów prawie,
Ciągle z rozbitą biega konewką.

I bieganina ta trwała do ciemnej nocy, by się wypełniło do joty życzenie dziadka ;za jej nadejściem jakby powstrzymana mocą tajemną, opamiętała się Błażkowa i wtedy:

— O reta! krzyknie, dzieci pić chciały,
Dyćże to noc już.... ot i po płótnie!
Człek się naprózno zmachał okrutnie,
Choćby krztę wody przez dzionek cały!
A tożem przecie chętna, usłużna,
Wspomogła dziada... o Boże wielki!...
A ktoś jej na to: znać twa jałmużna
Niewarta nawet wody kropelki!
Błażkowa spojrzy, zadrżała z trwogi
Poznawszy lica, postać pochyłą,
Przed nią stał, jakby w świetle ubogi,
Nim ochłonęła, już go nie było....

Wypadek ten tak dalece oddziałał na Błażkowę, że zaniemogła, i w snach złowieszczych widziała marniejący dobytek, a nareszcie samą siebie wyciągającą żebracką rękę po kawałek chleba. W utrapieniu tem udała się po długiem wahaniu do poczciwej Janowej, i rzeczywiście w jej współczuciu i zdrowych radach prawdziwą znalazła pociechę. Odtąd odmieniła się zupełnie: w szczerej modlitwie nabrała otuchy, dla biednych stała się litościwą, dla sąsiadek uprzejmą i grzeczną; toż i one nawzajem dobre dobrem płacąc, pojednały się z Błażkową, i żyły w niezakłóconej zgodzie. Pewnego razu obiedwie sąsiadki Janowa i Błażkowa co z sobą żyły teraz jak siostry, poszły razem do kościoła i przed jednym klęczały ołtarzem, zasyłając serdeczne modły, do Pana nad pany. W ołtarzu błyszczał obraz Ś. Piotra Apostoła i męczennika.

O Chryste Jezu! krzyknie Błażkowa,
Spojrzawszy nagle w ów obraz święty,
I długo wyrzec nie mogła słowa,
Co skrzepło w piersi trwogą przejętéj,
Aż gdy ją po mszy usłużna kmotra
By wrócić do dom, przyjaźnie trąca,
Jeszcze wzruszona blada i drżąca,
Wskazała wzrokiem świętego Piotra.
Wtedy i druga niemniej zdziwiona,
Upadła na trwarz w pobożnej skrusze,
Słodka pociecha wzniosła jéj duszę
Jakby w podwoi niebios ramiona.
Bo apostoła postać wspaniała,
Lubo przebrana w odmienne szaty,
Wyraźnie starca przypominała,
Co wniósł dostatek do biednej chaty.
Odtąd, przed świętym Piotra obrazem
Błażkowa wierna serca poprawie,
Janowa, że ją wspomógł łaskawie,
W każdą niedzielę klęczały razem.

* * *

A w wiosce zaraz kuma kumotrze,
Druch prawił druchom, aż na ostatek
Wzrosła gawęda o świętym Piotrze,
Co żebrał wsparcia u wiejskich chatek.
A czy to bajka! nie, prawda szczera:
Ubogi, zawsze posłaniec Boży,
Kto mu gościnną chatę otwiera,
Temu Bóg niebios wrota otworzy!

Otrzymane od jednego z burmistrzów poniższe doniesienie, Redakcya podaje w całej jego osnowie.

—

Wielmożny Józef Żebrowski z wsi Kalinowa, dnia 20 kwietnia r b., jadąc na targ do miasta Pułtuska, żgubił z portmonetą rs. 65, które jadąc za nim także na targ do Pułtuska Karolina Braun kolonistka z wsi Gnojna, znalazła. Poszkodowany zgubą, zdesperowany, przybywszy do miasta, zameldował zaraz o tem burmistrzowi, a niebawem zgłosiła się Karolina Braun, ta, co te pieniądze znalazła, również meldując o znalezieniu. Poszkodowany zgubę swą całkowicie odebrał, za dobrowolnem wynagrodzeniem znalazczyni.

Tak chwalebny czyn kolonistki Karoliny Braun, aby publicznie był pochwalonym, o tem z urzędu mam przyjemność donieść z prośbą (jeżeli to być może), o jeden exemplarz Czytelni tej, w której ten dobry czyn Braunowej będzie pomieszczony.

Prenumerata wynosi: w Warszawie rocznie rs. 1 kop. 80— półrocznie kop. 90—kwartalnie k. 45— miesięcznie k. 15
Na prowincyi, na wszystkich stacyach pocztowych bez kopert rs. 2.
Na prowincyi w kopertach, i w Cesarstwie, w którem prenumerata bez kopert nie jest dozwolona, oprócz należności rs. 2 za exemplarz pisma, każdy prenumerator dopłaca tytułem kopertowego nie po rs. 2 jak poprzednio, ale tylko po rs. 1 rocznie.
Dodaje się przytem, że w jednej kopercie Redakcyi Czytelni prenumerować można po kilka exemplarzy tegoż pisma bez żadnej dodatkowej dopłaty.

W druk. J. Ungra.—Wolno drukować.—Warszawa d. 4 (16 czerwca) 1860 r. Starszy cenzor *F. Sobieszczański.*